



spoglądając na siebie. Ojciec był bez okularów, a ja go zapamiętałem w okularach, natomiast ja miałem już czternaście lat, a nie dziewięć. To, co ojciec opowiadał o obozie, mogłoby być tematem niejednej książki. Ale najważniejsze, że cała rodzina znowu była razem.

Czy współpracując dzisiaj z Niemcami, nie czuje pan do nich urazy za te wszystkie krzywdy?

Często rozmowy zaczynamy w konferencyjnym angielskim, ale w końcu przechodzimy na niemiecki. No i wtedy zwykle pada pytanie, skąd znam niemiecki. – A na pewno chcesz wiedzieć? – pytam. – No tak. – Listy do ojca do Dachau musiałem pisać po niemiecku. Ze strony rozmówcy zwykle konsternacja, ale ja nie mam z tym problemu. Rzecz jasna, nie można odciąć się od wspomnień z tamtych czasów, ale uważam, że bardzo źle robią ci, którzy potępiają w czambuł wszystkich Niemców. Przecież teraz to są nasi przyjaciele, co wcale nie jest takie złe. Poza tym jak człowiek porówna wyczyny naszych sąsiadów zza zachodniej i wschodniej granicy, to wszystko nabiera zupełnie innej perspektywy.

W 1949 roku dostał się pan na Politechnikę.

W tamtym czasie studia były dwustopniowe. Najpierw trzeba było ukończyć trzyletni kurs inżynierski, a następnie studia magisterskie, które trwały dwa lata i kończyły się pracą magisterską oraz egzaminem dyplomowym. Miałem to szczęście, że trafiłem na zacnych profesorów, wspaniałych naukowców i nauczycieli zawodu.

Jednym z nich był Edward Warchałowski, nazywany ojcem polskiej geodezji, wybitny specjalista w zakresie klasycznej geodezji wyższej. Cieszył się dużym autorytetem. Gdy szedł korytarzem, z reguły podążała za nim procesja różnych interesantów.

dlatego, że został przydzielony do Desinfektionskommando, czyli oddziału wykonującego dezynfekcję odzieży jeńców. Niemcy panicznie bali się tyfusu i stąd cotygodniowa dezynfekcja odzieży. Przez wiele miesięcy nie wiedzieliśmy, co się z ojcem działo. Dopiero pod koniec 1940 roku otrzymaliśmy z Dachau list, że możemy do niego pisać raz na miesiąc, ale tylko po niemiecku. Jako dziesięcioletek rozpocząłem naukę niemieckiego. To był pierwszy obcy język, jakiego się nauczyłem.

Nasze spotkanie po 5 latach było jak z filmu. Przeszliśmy obok siebie na ulicy, nie poznając się wzajemnie. Jednak obaj musieliśmy poczuć coś szczególnego, bo kilka razy odwracaliśmy się,

Jak zapamiętaliśmy profesora Janusza Śledzińskiego

Niespokojny duch i innowator

Profesor Śledziński był przede wszystkim świetnym, pełnym zapału wykładowcą. Zawsze starannie przygotowany, zarażał swoją pasją do geodezji i potrafił zainspirować studentów do własnych poszukiwań. Profesor starał się używać nowoczesnych technik prezentacji i – kiedy jeszcze większość wykładowców używała wyłącznie kredy – przychodził z rzutnikiem przezroczym i wskaźnikiem laserowym. Żeby przykuć uwagę studentów, tworzył swoistą animację, odsłaniając spod kartki papieru treść slajdu linia po linii. Przerwy na przepisanie wykładu umiłał, puszczać z magnetofonu kasetowego muzykę poważną (zwykle Chopina, rzadziej Mozarta). Egzamin z geodezji satelitarnej nie był łatwy, więc zdanie go zawsze dawało studentom satysfakcję. Sam zdałem go za pierwszym razem na 3,5. Chyba nie najgorzej, zważywszy że Profesor, przechodząc na emeryturę, przekazał mi prowadzenie swojego ukochanego przedmiotu.

Profesor Śledziński był cenionym i znanym na całym świecie naukowcem, świet-

nym organizatorem i popularyzatorem nauki. Z natury był innowatorem i niespokojnym duchem, podpatrywał najlepszych na świecie i poszukiwał nowych rozwiązań. Był przy tym pracoholikiem, do czego sam chętnie się przyznawał. Starał się wdrażać nowoczesne technologie do praktyki geodezyjnej, pomagał w tym i nieustrudzenie edukował. Napisał pierwszy polskojęzyczny podręcznik do geodezji satelitarnej, stworzył anglojęzyczny podręcznik naukowy „Reports on Geodesy”, zakupił pierwsze dwa odbiorniki GPS w Polsce i wydatnie przyczynił się do powstania aktywnej sieci geodezyjnej ASG-EUPOS.

Był też dobrym szefem i kolegą, potrafił rozmawiać, zachęcał do aktywności i odwagi w podejmowaniu wyzwań, a przede wszystkim lubił ludzi i towarzysztwo. Zawsze dbał o dobrą atmosferę w pracy, organizował spotkania integracyjne i zapraszał wszystkich na ciastko z okazji swoich imienin. Kiedyś doprosił mnie jako współorganizatora imienin i od tego czasu urządzaliśmy wspólne święta Januszów w drugiej połowie listopada, ostatnie w ubiegłym roku...

Uwielbiał podróże, a konferencje naukowe w różnych krajach wydatnie sprzyjały rozwijaniu tej pasji z korzyścią dla wszystkich. Szczególnie w latach 90. był nieocenionym źródłem nowości, przywoził materiały, płacąc za nadbagaż, oraz nawiązywał kontakty międzynarodowe i załatwiał staże. Lubił też wyjazdy na ćwiczenia terenowe do Grybowa, gdzie organizował poprawkowe egzaminy, bawił się z dziećmi pracowników, pokazując im różne sztuczki, i fotografował.

Odchodząc na emeryturę, dostał od nas zegarek z GPS-em, dziś dość powszechny, ale 20 lat temu będący nowinką technologiczną. Choć gadżet był pokaźnych rozmiarów, dość toporny i niepraktyczny, to bardzo ucieszył Profesora i chętnie się nim chwalił przy wielu okazjach.

Profesor Śledziński był i jest dla mnie nadal inspiracją i wzorem do naśladowania. Zawsze z sentymentem będę Go wspominał, szczególnie 21 listopada będzie mi brakowało uśmiechu i towarzystwa Profesora z kieliszkiem Jego ulubionego białego reńskiego wina...

Dr hab. Janusz Walo, dziekan WGiK

Był absolwentem carskich szkół i prowadził wykłady na modłę szkoły rosyjskiej. Wyprowadzał więc te sążniste wzory na tablicy, ale jak się czasami zamotał, to gubił sens wyводу. To była szkoła, której ja nie kultuwuję. Uważam, że wystarczy podać ostateczny wzór oraz jego interpretację.

Kiedy rozpoczynałem studia, dziekanem był prof. Bronisław Piątkiewicz specjalizujący się w fotogrametrii. Dystyngowany starszy pan, który zwykł był chodzić w muszce. Miał w dziekanacie tylko jedną sekretarkę, która prowadziła całą administrację wydziałową. Dopiero później biurokracja rozrosła się do tego stopnia, że dziesięciu pracowników dziekanatu nie mogło sobie poradzić z nawałem prac.

Geodezji niższej uczył mnie z kolei prof. Jan Piotrowski, także absolwent rosyjskich szkół. Człowiek gołębiego serca, niezwykle życzliwy młodzieży. Mawiał w rozmowie ze studentami: „Pan jest dobry człowiek, świat się kończy”. Jego asystentem był późniejszy profesor Tadeusz de Lazzarini, któremu władze komunistyczne zabroniły używać „de” przed nazwiskiem. Natomiast najbliższym współpracowałem z prof. Czesławem Kamelą i prof. Walentym Szpunarem. Kamela zaproponował mi pracę w Katedrze Geodezji Wyższej w 1954 r., gdy byłem jeszcze studentem kursu magisterskiego. Później był promotorem mojego doktoratu.

Jest pan współautorem jednego z pierwszych skryptów na wydziale.

Profesor Hausbrandt, który pięknie wykladał suche procedury obliczeń geodezyjnych, z powodu choroby gardła bardzo cicho mówił. Dlatego siadaliśmy w pierwszych ławkach, aby jak najczęściej zapisać w zeszytach. Po drugim czy trzecim wykładzie profesor przejrzał moje notatki i – ku mojemu zdziwieniu – zaproponował mi napisanie skryptu.

Odtąd po każdym wykładzie biegłem do domu profesora z notatkami z wykładu. Tam wprowadzaliśmy poprawki i szlifowaliśmy styl, a profesor akceptował gotowy tekst. To była pierwsza



Uczestnicy I Polskiej Wyprawy Antarktycznej Janusz Śledziński i Zbigniew Ząbek, 1959 r.

szkoła pisania ładnym technicznym językiem. Początek zdania, koniec zdania, poprawna interpunkcja. Trzeba pamiętać, że wtedy nie było żadnego drukowanego wydawnictwa, po prostu nie było się z czego uczyć. Gotowy tekst napisany przeze mnie piór-

Ojciec ASG-EUPOS

Z profesorem Januszem Śledzińskim stykałem się w życiu wielokrotnie. Pierwszy raz jako student WGiK na specjalności pomiarów podstawowe, gdzie Profesor wykladał geodezję satelitarną. Zaczynała się wówczas intensywna eksploracja kosmosu, a pierwszy człowiek stawał właśnie stopę na Księżycu. Profesor nie tylko zainteresował nas technologiami satelitarnymi, ale i przekonywał, że są one możliwe do zastosowania także przez nas. I choć robił to fascynująco, muszę przyznać, że słuchaliśmy jego opowieści o pomiarach wykonywanych na wielkich obszarach z wykorzystaniem sztucznych satelitów jak bajki o żelaznym wilku.

Nasze ścieżki przecięły się ponownie, kiedy po studiach objąłem stanowisko asystenta w IGWiAG, gdzie profesor Zbigniew Ząbek był dyrektorem, a Janusz Śledziński jego zastępcą. Dał się wtedy poznać nie tylko jako człowiek wielkiej wiedzy, ale i starszy kolega zainteresowany sprawami nas, młodych.

Wreszcie gdy przyszedłem do pracy w GUGiK, miałem wielką przyjemność współpracować z Profesorem, który nieustrudzenie działał na styku nauki i prak-

tyki, reprezentując m.in. Polskę w różnych międzynarodowych gremiach. W tym czasie w krajach zachodnich jak grzyby po deszczu powstawały sieci stacji referencyjnych GPS. Wspólnie zastanawialiśmy się nad możliwością wprowadzenia tej technologii w Polsce. Nasz kraj szykował się właśnie do akcesji do Unii Europejskiej, była więc dobra atmosfera do podejmowania takich inicjatyw (budowę systemu na obszarze Europy Wschodniej i Środkowej nadzorował Międzynarodowy Komitet Sterujący EUPOS). W grudniu 2004 r. rozpoczęliśmy starania o uzyskanie dofinansowania z UE, co zakończyło się sukcesem. Podobnie zresztą jak cały projekt ASG-EUPOS, który stosunkowo niewielkim kosztem, bo niespełna 30 mln zł, udało się zrealizować i 2 czerwca 2008 r. system został w pełni udostępniony użytkownikom. Dzisiaj nie ma potrzeby nikomu tłumaczyć, jak wielkie miało to znaczenie i dla środowiska geodezyjnego, i całej naszej gospodarki.

Już po moim odejściu z GUGiK pracowaliśmy jeszcze wspólnie z profesorami Zdzisławem Adamczewskim i Januszem Śledzińskim, kiedy obydwoj byli już na emeryturze, nad różnymi rozwiązaniami dotyczącymi organizacji sieci geodezyjnych w Polsce.

Wydział Geodezji i Kartografii PW obchodzi w tym roku 100-lecie. Wielka szkoda, że profesor Janusz Śledziński nie będzie mógł w tych uroczystościach uczestniczyć.

Jerzy Albin, główny geodeta kraju (2001-2006)

Obywatel świata

Poznałem profesora Janusza Śledzińskiego (nazywanego potocznie w gronie nie tylko studenckim Śledziem) blisko 50 lat temu – 1 października 1971 r. podczas inauguracji roku akademickiego na Politechnice Warszawskiej. Miałem właśnie zostać przyjęty w poczet braci studenckiej na Wydziale Geodezji i Kartografii i towarzyszył mi Tato – Stanisław Pachuta, też geodeta. Pamiętam, że podeszliśmy do niskiego i niezwykle ruchliwego pana, wówczas doktora, i zamieniliśmy kilka zdań. Wyraził on zainteresowanie nowym kandydatem na studenta i życzył mi powodzenia.

W czasie studiów nie miałem okazji słuchać wykładów Profesora z geodezji satelitarnej, gdyż nie było ich w programie mojej specjalności geodezja inżyniersko-przemysłowa. Jednak koledzy ze specjalności pomiarów podstawowe opowiadali

kiem na kalce został potem odbity metodą fotograficzną w nakładzie 150 egzemplarzy. Profesor wystarał się nawet o ekwiwalent pieniężny dla mnie. Wystarczyło w sam raz na kupno odbiornika radiowego, co napawało mnie dumą, bo byłem i jestem do dzisiaj radiomanem, który bez radia nie umie żyć. Wreszcie mogłem posłuchać muzyki klasycznej odbieranej, jak na owe czasy, w całkiem przyzwoitej jakości.

Na początku swojej kariery naukowej miał pan do czynienia z zapomnianym dzisiaj aparatem czterowahadłowym.

W pierwszych latach pracy w Katedrze Geodezji Wyższej zostałem włączony do zespołu wykonującego pomiary grawimetryczne na terenie Polski. Katedra posiadała unikatowy aparat czterowahadłowy do precyzyjnych pomiarów przyspieszenia siły ciężkości. Tym instrumentem na zlecenie Głównego Urzędu Geodezji i Kartografii wyznaczaliśmy podczas kilku ekspedycji kilkanaście podstawowych punktów grawimetrycznych w kraju. Założona przez nas sieć została później zagęszczona punktami pomierzonymi za pomocą innych grawimetrów.

A nazwa aparatu wzięła się stąd, że ma on cztery wahadła poruszające się w dwóch płaszczyznach prostopadłych i w przeciwnych fazach. Połączane wahadła o długości ok. 25 cm są wykonane z inwaru, żeby jak najmniej zmieniały długość pod wpływem zmian temperatury. I nie mierzyło się przyspieszenia, lecz czas (okres wahania) z dokładnością do dziesięciomilionowej części sekundy. Znając okres i długość wahadła, można było wyliczyć „g”. Wahadła poruszały się w próżni pod kloszem przez kilka godzin. Wystarczyło zliczyć wahnięcia w odstępie czasu. Precyzyjne sygnały czasu nadawały wybrane stacje radiowe w Europie. Sama rejestracja momentów przejścia wahań przez stan spoczynku odbywała się poprzez fotografowanie odbitego od wahań punktu świetlnego na tle sygnałów czasu nadawanych przez radio.

Z tym aparatem wiąże się wielka przygoda – wyprawa na Antarktydę.

Pomiary polskiej sieci zaowocowały propozycją z Polskiej Akademii Nauk, by wykonać nawiązanie grawimetryczne między Warszawą a punktem mającym powstać na terenie polskiej stacji na Antarktydzie. Podczas tej wyprawy Rosjanie mieli przekazać Polsce swoją stację polarną „Oazis” leżącą w Oazie Bungeera. Wyruszyliśmy z Gdyni statkiem „Michaił Kalinin” w wigilię Bożego Narodzenia 1958 roku. Na miejsce dotarliśmy po miesiącu. Aparat czterowahadłowy, z uwagi na niezwykle wrażliwą konstrukcję, był specjalnie zapakowany i unieruchomiony, a pudło w kajucie umieszczono na pneumatycznych przegubach. Przypadkowe uderzenie lub gwałtowne przechylenie uniemożliwiłoby pomiary.

Przed wyjazdem sądziłem, że ze względu na niewielką odległość do Australii wykorzystamy sygnały czasu nadawane przez tamtejsze stacje, np. z Perth. Ale okazało się to niemożliwe, a powodem były – jak się później dowiedziałem – zakłócenia wynikające z bliskości południowego bieguna magnetycznego. Za to doskonale słyszalne były sygnały z Moskwy, Waszyngtonu czy Poczdamu. Było to trzecie grawimetryczne nawiązanie między Antarktydą a Europą. Wyzaczyliśmy „g” z dokładnością względną między 10^{-8} a 10^{-9} . Nasz raport trafił do międzynarodowego biura grawimetrycznego w Paryżu, został opublikowany, a my otrzymaliśmy listy gratulacyjne.

Ostatecznie jednak grawimetria jakoś pana nie uwiodła...

Po doktoracie uświadomiłem sobie, że nie samą grawimetrią i geodezją wyższą człowiek żyć musi. Koniec lat 60. i lata 70. to czas wielkich przemian także w geodezji. Powstawały wtedy nowe technologie i nowe kierunki badań. A wszystko za sprawą zastosowania w geodezji pomiarów satelitarnych. Nowy dział – tzw. geodezja satelitarna – okazał się kopalnią frapujących te-

o niezwykle ciekawych zajęciach, podkładem których była muzyka poważna i operetkowa. Natomiast z podręcznika Profesora „Geodezja satelitarna” wielokrotnie uzupełniałem później wiedzę.

W 1976 roku, gdy zostałem przyjęty do grona pracowników WGiK, Janusz Śledziński rozpoczął swój ważny kontrakt w Afganistanie, ale w czasie jego krótkich pobytów w Warszawie konsultowaliśmy problemy związane z pomiarami geodezyjnymi na... Antarktydzie. Był bowiem uczestnikiem pierwszej polskiej wyprawy radzieckim statkiem Kalinin do stacji im. A.B. Dobrowskiego w Oazie Bungeera. Z kolei ja, będąc w latach 1978-1979 uczestnikiem pierwszej samodzielnej wyprawy do tej stacji polskim statkiem Zawichost, korzystałem z wyników badań grawimetrycznych przeprowadzonych przez zespół z udziałem profesorów Ząbka i Śledzińskiego. Jako polarnik wspierał inicjatywy w tym zakresie, a jako dyrektor Instytutu pomagał w zorganizowaniu pierwszej wyprawy studentów i pracowników WGiK na Spitsbergen w 1988 roku.

Profesorowi Śledzińskiemu Wydział zawdzięcza otwarcie na świat i nawiązanie kontaktów z wieloma firmami i uniwersytetami zagranicznymi. Był pod tym względem niekwestionowanym liderem.

Miałem przyjemność uczestniczyć m.in. w projekcie grawimetrycznym UNIGRACE, którym Profesor dowodził. Był inicjatorem udziału pracowników WGiK w konferencjach Europejskiej Unii Geofizyki (EGU), w której stworzył specjalną sekcję poświęconą projektom geodynamicznym w Europie Środkowej (CEI). Dzięki temu mogliśmy brać udział w konferencjach m.in. w Hadze, Nicei czy Wiedniu i prezentować tam nasze dokonania. Profesor bardzo dbał o rozwój młodej kadry i integrował nas wokół ważnych problemów współczesnej geodezji. Dla rozluźnienia stresowej sytuacji związanej z wygłaszaniem referatów w języku angielskim wieczorami, jak na poligłotę przystało, ćwiczył z nami wymowę, a dla kurażu stawał koleżeństwu lampkę Martini.

Janusz Śledziński pochodził z Bobowej koło Grybowa, gdzie mieści się Ośrodek Szkoleniowo-Wypoczynkowy PW. Profesor lubił światowe podróże, ale też i nasze krajowe wypadki, w tym do Grybowa na ćwiczenia terenowe. Zabierał wtedy młodszych współpracowników na wycieczki krajoznawcze i pokazywał dom, w którym się urodził. Zawsze w takich wyprawach jako kierowca towarzyszyła mu żona Bogusia. Ciekawostką jest, że Profesor nie miał prawa jazdy. Związane to było z dość

dużą wadą wzroku. Janusz – bo tak zapropo- nowałem, abyśmy się do niego zwracali – był osobą bardzo towarzyską. Lubił spotykać się w gronie współpracowników i nie stronił od tradycyjnych wieczorów „rozpoznawczych”. Lubił tańczyć i – jak twierdzi moja żona – robił to z wielkim poczuciem rytmu i z dużą gracją. W tym roku 29 lipca świętowałby swoje 90. urodziny.

**Dr hab. Andrzej Pachuta,
wieloletni prodziekan WGiK PW**

Nauczyciel inspirujący

Drogi Januszu, mój Nauczycielu, odszedłeś od nas i nie będzie już możliwe skorzystanie z Twoich rad i uwag. Muszę stwierdzić, że w mojej drodze zawodowej odegrałeś wielką rolę. To TY sprawiłeś, że szybciej, niż przewidywałem, zakończyłem rozprawę habilitacyjną, przy opracowaniu której byłem przez Ciebie stale ponaglany i konsultowany. Jestem pewien, że zatrudnienie mnie w Geokarcie też zawdzięczam Twoim staraniom. Tam pod Twoim kierunkiem prowadziłem prace dotyczące głównie rozwoju geodezji w Afryce. Dzięki Tobie poznałem problemy naszego zawodu na tym kontynencie i inaczej zacząłem patrzeć na geodezję w Polsce. Razem z Tobą i ko-

matów. A powiązania geodezji satelitarnej z geodezją wyższą, geodezją dynamiczną, grawimetrią, geodynamiką, astronomią i nawigacją czyniły ją jeszcze bardziej interesującą i godną uwagi. Należało zatem jak najszybciej uwzględnić to w nauczaniu studentów. Opracowałem program wykładów oraz ćwiczeń i jako pierwszy w Polsce w 1970 roku rozpocząłem na Wydziale Geodezji i Kartografii PW wykłady z geodezji satelitarnej.

Włada pan wieloma językami, ale w ilu poprowadziłby pan wykład?

Kiedyś w Abidżanie (stara stolica Wybrzeża Kości Słoniowej) miałem wykladać jako *visiting professor*. Wszystko przygotowałem w języku angielskim, jak było umówione. No i na pierwszym wykładzie z grawimetrii zaczynam mówić, a tu wrzask, bo połowa studentów zna tylko francuski. Musiałem od ręki podzielić wystąpienie na akapity, które najpierw mówiłem po angielsku i pisałem na jednej tablicy, a potem po francusku i pisałem na drugiej tablicy. Bardzo im się to spodobało, dostałem na koniec brawa. Nie miałbym też problemów z wygłoszeniem wykładu po rosyjsku czy niemiecku. Kiedyś swobodnie mówiłem po łacinie. Dzisiaj niewiele z tego pamiętam, ale deklinację czy koniugację mogę wyrecytować w każdej chwili.

Prof. Szpunar uciekał w pracę naukową, by nie brać udziału w życiu politycznym Polski Ludowej. Czy o sobie może pan powiedzieć podobnie?

Nie wyżynam się w żadnych politycznych akcjach, nigdy mnie to nie bawiło. Natomiast lubię dydaktykę, mogę i dziewięć godzin wykladać bez przerwy, oczywiście, kiedy mnie słuchają (*śmiech*). Zaryzykuję stwierdzenie, że dydaktyka to moje hobby.

Rozmawiali Jerzy Przywara i Zbigniew Leszczewicz, kwiecień 2014 r.

„Poczet Profesorów” z pełną wersją wywiadu jest bezpłatnie dostępny na GeoForum.pl w zakładce Geowiedza



Zdjęcia ze zbiorów prof. Janusza Śledzińskiego

Na japońskiej wyspie Hokkaido jako samuraj z żoną Bogusławą Kalinowską-Śledzińską w ludowym ubiorze z okolic Sapporo, rok 2003

legami, głównie z IGWiAG, opracowaliśmy projekt ujednoczenia osnowy geodezyjnej Afryki poprzez powiązanie osnow krajowych za pomocą dopplerowskich obserwacji satelitów TRANSIT. W szerokiej współpracy międzynarodowej projekt ten został zrealizowany w kampanii ADOS (African Doppler Surveys). Dzięki Tobie poznałem kawałek świata, a w Afryce uczestniczyliśmy razem m.in. w dwóch sympozjach „Geodesy in Africa”: w Tunisie i Jamusukro.

W mojej pamięci pozostaniesz, Mój Drogi Nauczycielu, jako osoba otwarta na wszelkie nowe inicjatywy i sprzyjająca rozwojowi naszej społeczności. Będzie nam Ciebie bardzo brakowało.

Prof. Jerzy Rogowski,
wieloletni pracownik WGiK PW

Guru i cudotwórca

Profesor Janusz Śledziński zamieszkał moim życiem zawodowym. Na studiach dopiero wykłady Profesora oświeciły mnie, czym chciałam się zajmować. Bardzo pomógł mi jako promotor, udostępniając w IGWiAG stacjonarny komputer, na którym, obarczona już dwójką dzieci, szybko napisałam pracę magisterską (koledzy pisali swoje na maszynie). Ale

to było później. Wcześniej profesor wysłał nas pod opieką młodych docentów: Marcina Barlika i Jerzego Rogowskiego, na praktyki studenckie do Grecji, gdzie byliśmy gośćmi Uniwersytetu Technicznego w Atenach i dłuższy czas stacjonowaliśmy w stacji satelitarnej Dionizos pod Atenami, zapoznając się empirycznie z jej funkcjonowaniem. A na wyspie Kasos na Morzu Egejskim wykonywaliśmy pomiary i projektowaliśmy nową drogę. Cała ta nieprawdopodobna przygoda stanowiła pokłosie międzynarodowych kontaktów Profesora. Przypominam, że był rok 1987, po paszport chodziło się na milicję, a średnia płaca w Polsce była warta jakieś 20 dolarów. Z inspiracji Profesora napisałam po tej wyprawie swój pierwszy w życiu reportaż do czasopisma „Politechnik”, a wkrótce także artykuł techniczny do „Przeglądu Geodezyjnego” na temat projektu WEGENER. Kto wie, czy to nie wtedy zdecydowała się moja przyszłość...

Chcę opowiedzieć jeszcze jedną historię związaną z Profesorem. Na ćwiczeniach z geodezji satelitarnej zlecił nam zaprojektowanie sieci geodezyjnych dla Afryki. Każdy dostał do ręki obcojęzyczne materiały dotyczące jakiegoś wybranego kraju. Pech chciał, że trafił mi się język francuski. Poszłam więc do Profesora z reklama-

cją, że nie znam francuskiego. Spojrzał na mnie i bez cienia złośliwości powiedział: to niech się pani nauczy. Dla niego było to zupełnie naturalne, a mnie nie pozostało nic innego, jak tej rady posłuchać. Przy okazji tego ćwiczenia kolega, który jako jedyny zaproponował, by w drugiej połowie lat 80. budować na Saharze wieże triangulacyjne, otrzymał od Profesora ostrą reprymendę.

Po latach nasze relacje uczeń – mistrz stały się bardziej koleżeńskie, Profesor prosił, by mówić do niego po imieniu. Po powrocie z częstych międzynarodowych konferencji i seminariów publikował w GEODECIE relacje, ale lubił też barwnie opowiadać i pokazywać niezliczone zdjęcia. Jeszcze kilka lat temu po dłuższym wyjeździe do Meksyku zorganizował w sali nr 40 (kultowej dla geodezji wyższej na WGiK) prelekcję z pokazem zdjęć i pamiątek połączoną z degustacją tequilli.

A entuzjastycznych zapowiedzi Profesora, że zbudujemy w Polsce ASG-EU-POS, nie potraktowałam serio. Czas pokazał, jak bardzo się pomyliłam. Gdyby tylko ten jeden projekt doprowadził do finału – i tak byłby wielki. A przecież zrobił o wiele więcej. Żegnaj, Profesorze!

Katarzyna Pakuła-Kwiecińska,
redaktor naczelny GEODETY